

W cieniu liktorskich różeg

Skoro prasa i inne media zechcą utrwalić przekonanie, że PiS jest partią faszystowską – otworzyć to może drzwi kolejnym, bardziej zdecydowanym posunięciom, w pełni przy tym zgodnym z duchem i literą prawa – pisze Wojciech Stanisławski w najnowszym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Oczywiście: Uniwersytet Jagielloński, Warszawski, Śląski, Wrocławski, UMCS, UAM – to jasne. Ale także Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Wyższa Szkoła Turystyki i Ekologii w Suchej Beskidzkiej, Akademia Nauk Stosowanych we Wrocławiu czy Politechnika Koszalińska. W sumie, jak szacuję na podstawie danych z portalu Nauka Polska, blisko trzydzieści wyższych uczelni czekać może w najbliższym czasie poważna zmiana, jaką jest likwidacja wydziałów czy instytutów politologii.

Taka może być konsekwencja wyroku Sądu Okręgowego w Warszawie z 1 lutego br. (sygn. akt XXIV C 487/23), który oddalił powództwo w procesie o ochronę dóbr osobistych wytoczonym dziennikarzowi „Gazety Myszkowskiej”, który zechciał w jednym ze swych artykułów nazwać Prawo i Sprawiedliwość „partią faszystowską”. Sędzia Dorota Gozalbo-Gągolewicz uznała, że zdanie takie mieści się w granicach swobody wypowiedzi, a dziennikarz realizował – bliską nam przecież wszystkim – konstytucyjną zasadę wolności słowa.

Pani sędzia, jak można wnosić z jej werdyktów odnotowanych w wyszukiwarce SAOS (System Analizy Orzeczeń Sądowych), dźwigała dotąd szale Temidy w sprawach nieco drobniejszego autoramentu: ustalenia obowiązku alimentacyjnego, zaboru telefonu komórkowego czy uszkodzenia witryny sklepowej. Jej wyrok z dnia pierwszego lutego stał się dziełem bardziej wiekopomnym niż należyte ukaranie niejakiego D. C., „obwinionego o to, że: 1. jako osoba działająca w imieniu pracodawcy: (...) w okresie od 11.04.14 r. do 13.06.14 r. nie wypłacił wynagrodzenia chorobowego (...) w kwocie 2890,59 zł brutto”. I to na kilku płaszczyznach.

Po pierwsze, możliwość jasnego i konkretnego stwierdzenia, że PiS można nazywać partią faszystowską (nawet, jeśli ta ocena różni się nieco od opinii formułowanych w przeszłości czy na podstawie potocznych skojarzeń) pokazuje, że wszystkie te trudy Arystotelesa, Monteskiusza czy innych Wilsonów były, powiedzmy sobie szczerze, funta kłaków warte. To znaczy owszem, można przypuszczać, że pani sędzia Gozalbo-Gągolewicz orzekła w sprawie przestudiowawszy tomy studiów nad faszyzmem Franciszka Ryszki czy Rienzo di Felice. Skoro jednak analizy ideologii partii dokonać może sąd okręgowy warto, szczególnie w okresie poważnych oszczędności, zastanowić się, czy ma sens utrzymywanie kilkudziesięciu skupionych na tym samym placówek badawczych. Likwidacja instytucji nauki i kultury w oparciu o pojedynczy werdykt sądowy może też, co nie jest bez znaczenia, dobrze wpisywać się we współczesną atmosferę stanowczych, a jednocześnie rzeczowych decyzji.

Po wtóre, werdykt ten rozwiązuje usta nie tylko publicyście „Gazety Myszkowskiej” (który, wolno mieć nadzieję, wypłynie obecnie na szersze wody żurnalistyki). Co prawda w polskim systemie prawnym poszczególne wyroki nie mają mocy precedensów, ale można spodziewać się, że w przyszłości ugrupowanie PiS klasyfikowane będzie podobnie przez kolejnych korespondentów – i być może kolejne sądy, jeśli jakiemuś piniaczowi zachciałoby się jeszcze procesować, zechcą zastosować podobną wykładnię prawa. Jest na to przynajmniej nadzieja. „Sąd: PiS można nazywać partią faszystowską” informuje rzeczowo „Gazeta Wyborcza” w artykule z 4 lutego pióra red. Izabeli Alberczyk.

Skoro zaś media zechcą utrwalić przekonanie, że PiS jest partią faszystowską – otworzyć to może drzwi kolejnym, bardziej zdecydowanym posunięciom, w pełni przy tym zgodnym z duchem i literą prawa. Jak bowiem wiadomo, art. 256 par. 1 Kodeksu Karnego stwierdza, że propagowanie publiczne ustroju faszystowskiego („lub innego totalitarnego”) zagrożone jest karą grzywny lub pozbawienia wolności do lat 2. Mało tego, już art. 13 Konstytucji RP, noszonej przez reformatorów na T-shirtach i w sercach, jednoznacznie zakazuje istnienia partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do metod i praktyk działania m.in. faszyzmu.

Dobrze, że istnieje taka perspektywa, może ona bowiem uprościć sposób działania zwolennikom całościowych rozstrzygnięć, holistycznego – jak moglibyśmy powiedzieć, odwołując się do reformatorów medycyny – uzdrowienia chorego organizmu państwowego. Głosy zwolenników takiego pełnego uzdrowienia, radykalnej eliminacji czynników chorobotwórczych, są w ostatnich

dniach dobrze słyszalne. „Demokraci nie mogą powtórzyć starych błędów. Nie wolno zawalić [wyborów] i pozwolić wygrać jakiemuś dudoidalnemu kandydatowi” – pisze w sobotniej „Wyborczej” Jarosław Kurski, łącząc głęboki niepokój o los kraju z troską o to, by nie dehumanizować oponentów. „Po pierwszych rządach PiS-u nie było właściwie rozliczeń. I jak się skończyło? Więc nie, nie i nie. Zamiatanie jest konieczne” – tłumaczy w mediach społecznościowych potrzebę epuracji krytyk Tomasz Fiałkowski, badacz i kurator spuścizny Jerzego Turowicza.

To zamiatanie trwa, widać trud dotarcia w najdalsze zakamarki, gdzie mogły zgromadzić się śmieci: „Gazeta Wyborcza” publikuje, niedalekie w estetyce od listów gończych, opatrzone zdjęciami twarzy wykazy urzędników nominowanych w ciągu ubiegłych kilku lat i nadal sprawujących swe funkcje lub wytrwale przepytuje przedstawicieli firm farmaceutycznych, które mają czelność umieszczać reklamy w Telewizji Republika. Oczywiście, dobrze, że unosi się nad nami cień brzoźowych różeg miotły, nie zaś *fascēs* z wetkniętym w nie toporem; czy jednak takie cząstkowe działania wystarczą?

Werdykt warszawskiego sądu okręgowego może rysować perspektywę bardziej nawet obiecującą niż dość już dawny, ze stycznia 1946 dekret „O odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyczację życia państwowego”. Delegalizacja Prawa i Sprawiedliwości jako partii faszystowskiej w oparciu o Konstytucję RP i odpowiednie artykuły Kodeksu Karnego mogłaby stworzyć warunki do pojednania społecznego, a pojawiający się często termin „depisyzacja” przestałby być tylko chwytem publicystycznym.

Po tamtych, nadtybrzańskich faszystach przynajmniej jakaś przyzwoita architektura została: dworzec Termini, Palazzo della Civiltà Italiana. A tu? Ani Srebrnej Tower, ani CPK. I zamiast różeg liktorskich będą sobie trzymać tutejsi, zdepisyzowani, w spoconej dłoni – wierzbową palemkę.

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
